

Wielkie bazgro

Późno, za późno może, zapewne w jakimś sensie poniewczasie, doszło oto do mnie, że od lat mieszkając na prawym brzegu Wisły, na warszawskim Targówku, żyję w samym centrum rodzimego pisarstwa... gryzmo- czy bazgro-, dodam dla ścisłości, bazgropisarstwa, neologizm niezależający się urodą, całkiem precyzyjnie za to nazywający istotę fenomenu, o którym mowa.

Traf chce bowiem, że przed niedawnym czasem mimochodem, niechcący jakby, powodowany może czystą łapczywością (bo psi grosz wchodzi tu w grę), a może instynktową potrzebą – istotnie, jak się niebawem okazać miało, ważną – u ulicznego bukinisty kupiłem książkę, która, jak zachwalał wydawca, wyjawiała „mały mroczny sekret” starożytnych Greków i Rzymian. Tyle zapowiadał powściągliwy w swych obietnicach wydawca – książka jednakże, ma ona tytuł *Magia antyczna*, przynosi – obywatelowi Targówka z pewnością – coś znacznie więcej, niż tylko mnóstwo prawdziwie niezwykłych, przyznać trzeba, sensacyjnych wręcz wiadomości – otwarcie oczu mianowicie, oświecenie, iluminację. Autor *Magii*, wybitny wrocławski znawca antyku Andrzej Wypustek, ów mroczny, by nie rzec – zgoła wstydlivy sekret starożytnych wyjawiając, sygnalizuje bowiem równocześnie kwestię ogólniejszą, prawdziwie istotną – wysoce zastanawiający, godny głębokiej rozważki i dyskusji problem ślepej wiary, zbiorowego czy wręcz stadnego umysłowego zaćmienia, niepokojącej niesprawności naszych mechanizmów myślenia. Rzecz prawdziwie niesłychana, niewiarygodna: znową milczenia, spowodowaną zbiorową amnezją czy też zdumiewającym zaczadzeniem umysłów, dotknięte były przez stulecia, ba, lekko licząc tysiąclecie z okładem, nie tylko kolejne pokolenia zwykłych zjadaczy chleba, lecz także zastępy myślicieli, badaczy i przysięgłych znawców oraz miłośników antyku, najrzetelniejszych i najskrupulatniejszych, najwybitniejszych nawet. W świetle tekstów starożytnych filozofów, poetów i pisarzy antyczna Grecja i starożytny Rzym jawiły się przez wieki pochyłającym się nad ich dziełami filozofom, poetom, pisarzom – a w ślad za nimi całej oświeconej publiczności – jako idealna kraina piękna, rozumu, doskonałości, wzniosłości, boskiej harmonii i światłości: wyidealizowana ojczyzna duchowa tak wielu. Tymczasem, dowodzi Andrzej Wypustek, była to ułuda, wielki omam, samozastwianie, robaczywy owoc wyniosłości, wzgardy dla zdrowego rozsądku, niewiarygodnej wręcz pychy i zarozumiałości. Mało powiedzieć, że stan taki trwał długo – bo, jak się rzekło, trwał wieki, do czasu, kiedy najskromniejszy z dostojnego grona starożytników odważył się spojrzeć sobie pod nogi. Tam, u jego stóp, leżała kupa starożytnych śmieci (z tej błogosławionej przyczyny, że muzea nigdy, przez całe wieki, nie miały dość pieniędzy, by śmieci wywieźć na wysypisko); nieśmiały ten magister ukradkiem sięgnął po zgnieciony skrawek papirusu i tym jednym gestem zburzył wznoszoną

przez wieki pyszną świętynią antycznej idylli. Homer, Eurypides, Horacy i Wergiliusz zderzyli się z ogromnym tłumem z reguły anonimowych zwyczajnych zjadaczy chleba, mieszkańców lepierek i miejskich ruder, którzy na papirusach, na glinianych skorupkach, ołowianych blaszkach zwracali się do swoich i cudzych bogów, do swoich i cudzych demonów i diabłów z prośbami i groźbami; błagali o łaskę życia dla siebie i łaskę unicestwienia swoich wrogów, przeciwników i konkurentów. Obraz pospolitego życia, surowego i mrocznego, grubiańskiego i szalonego, obrzydliwego i wzniesłego, jaki kulawym i wyrazistym słowem malują oni na owych skorupkach, blaszkach i papierkach (papieruskach...) jest tak sugestywny, tak niesamowity i tchnący taką siłą, takim żarem, takim autentyzmem, że bledną przy nich pomnikowe dzieła; wyrafinowane, uczone poematy robią wrażenie sztucznej stylizacji, niemającej nic wspólnego z prawdą życia. Samorodna twórczość uprawiana pod ciśnieniem życiowych konieczności przez greckich, egipskich czy rzymskich piekarzy, szewców, gladiatorów, poganiaczy wołów i pastuchów, przez kucharki, prządky i cyrkówki sprzed lat dwu tysięcy z hakiem może nie tylko starożytnika wstrząsnąć i przyprawić o zawrót głowy.

...Z tak zawróconą głową wyszedłem z domu, żeby – jak to zwykło się nazywać – zaczerpnąć powietrza w targówkowym parku noszącym imię piewcy starożytnych naszych Piekutoszczaków – Stefana „Wiecha” Wiecheckiego. Park jest na miarę naszego osiedla – niewielki, przytulony do okazałego gmachu teatru Rampa, (dawniej Tenatar). Osiedle zaś – nakreślmy z grubsza jego usytuowanie – z jednej strony graniczy z osiedlem Zacisze, z drugiej sąsiaduje z dawnym kirkutem żydowskim i leżącym obok cmentarzem katolickim, który oddziela je od osiedla Bródno złączonego z nim jednakże administracyjnie (i nie tylko: „Bródno rząd, Targówek front”, brzmi bojowe hasło młodzieży bródzieńsko-targówkowej); z drugiej strony ogranicza Targówek ulica Radzywińska, dawniej Generalska, za którą rozciąga się aneks naszej dzielnicy industrialny, Targówek Przemysłowy vel Fabryczny...

Nie byłby powyższy szkic sytuacyjny nikomu do niczego potrzebny, gdybym wtedy, z zawróconą głową idąc, nie doszedł do budyneczku, pośrodku naszego Wiechowego parczku usytuowanego. Od tej altanki zwykłem być z dawien dawna – nie ja jeden zresztą – instynktownie odwracać wzrok, jako że wszystkie cztery jej ściany bodaj już następnego po otynkowaniu go dnia – a miało to miejsce przed wielu laty – zostały od dachu po fundament dokładnie zabazgrane i zagryzłone, by następnego po tym pierwszym dniu (czy raczej, bądźmy precyzyjni, następnego nocy) zostać znowu zagryzłone i zabazgrane, i kolejnego dnia ponownie zabazgrane i zagryzłone... i tak przez niezliczone dni, przez całe lata: gryzmoł, gryzmoł, bazgroł... Siłą faktu więc ta skromna parkowa altanka stała się swoistym archiwum gryzmołu czy bazgrobiblioteką, przedziwnym, bez końca wznoszonym czy dopisywanym (jedynym pewnie takim w kraju – i na świecie...) pomnikiem czy budowlą memorialną, upamiętniającą czcigodnego patrona tego miejsca i „jego ferajny”. A może, kto wie, z autora *Maniusia Kitajca i jego ferajny* sztydzącego... Dawna, sławna na całą Warszawę i Polskę, i dla całej Polski groźna mofiojcka ferajna z Mokrej, Cmentarnej i Janinówki w naszej nowej Polsce przepoczwarzyła się

bowiem w wysubtelnioną – w wersji *sophisticated*, rzecz można, ferajnę, już nie w majchry zbrojną, ale długopisy, pisaki, zakreślacze, markery, spraye... Kolejne pokolenia ferajny tym wątlm, pokojowym orężem władaty jeśli nie ze szczególną maestrią, to z niestychaną, przechodzącą wszelkie wyobrażenia obstynacją, wręcz niewiarygodną, budzącą lęk i osłupienie dawnych i nowych obywateli Targówka złośliwością, żelazną konsekwencją, złowrogą, posępną nieustępliwością, szatańską po prostu bezczelnością, oburzającym spokojnego mieszkańca chamstwem... Wyczyny kieszonkowców, szybottuków, różnego autoramentu kanciarzy i obiboków, stale przecież operujących na tutejszym bazarku i w jego pobliżu, są niczym w porównaniu z tym budzącym odrazę plugastwem, z jakim mieliśmy, mamy bez ustanku do czynienia... Gryzmoły, bazgroły, zmazy, bohomaży, prymitywne, bezkształtne odciski umoczonych w smole czy jakiejś innej mazi paluchów, nakładają się na siebie, pstrokate i brudne, wyzywająco, odrażająco paskudne i ohydne palimpsesty, przygotowujące o ból zębów przysłowiowy. Budząca abominacją, prowokacyjna, wyzywająca, przechodząca wszelkie wyobrażenia i miary, nieopisana brzydota, z jaką przyszło nam targówczanom żyć. Wychodek, od którego biło smrodem sprayu aż na jaskółce teatru Rampa. Obraza, wyzwanie dla nas obywateli, władz, samorządów. Nocne patrole, napiętnowania, wreszcie akcje zmywania, zacierania, w końcu radykalnego zdzierania pokrytych bazgrołami powierzchni. Daremne trudy, z góry skazane na niepowodzenie usiłowania. Co jakiś czas jednak mimo wszystko podejmowane...

I otóż owego dnia magią grecką zawróconej głowy z dala już dostrzegłem, że kolejna interwencja służb ogrodowych musiała dopiero co mieć w parku miejsce: jaśniały niepokalanie czyste ściany Pana Wiechowej altanki. Skute przez czyścicieli z muru, dokumentnie zabazgrane tynki nie zostały jeszcze uprzątnięte. Podniosłem z ziemi ułomek, na licowej stronie po wielokroć zagryzmonony nakładającymi się na siebie wielokolorowymi krzywymi liniami, zygzakami, gzygzakami, zakrętasami, wirującymi w febrycznym kołowrocie kołami i naraz zadałem sobie proste pytanie, które już dawno winienem był sobie zadać, zwykły rozsądek, przyzwoitość, ciekawość, nie wiem, co jeszcze, ludzkie sumienie winno mnie było do tego skłonić, pytanie o to, co na tym ułamku tynku jest napisane? Co wyrażone jest? A jeśli nie napisane – to co jest nienapisane? Dlaczego, przez kogo właściwie nagryzmonone, nabazgrane. Nachuliganione, nasza pani cieć by uściśliła... Dlaczego zaś ja (zadaję sobie pytanie) niewzruszenie stoję po stronie tych urzędowych czystioszków, którzy właśnie dokonali totalnej czystki, odarli tę chałupkę w imię porządku i piękna z wszelkich treści i znaczeń, dlaczego, sam siebie o to nie pytając, jestem po stronie czystości, jasności, piękności, a nie skłębionych paskudnie linii, brzydoty, pomieszania, bezładu, bezhołowia? Po stronie pucymurka, a nie bazgroła. Po stronie jasności i światła oczywiście, a nie mroku, paskudztwa i brudu. Bez rozmysłu ja, ślepo, automatycznie – po stronie pomstującej i represyjnej większości. Czemu nie po stronie mniejszości przepędzanej, opresjonowanej stoję?

Można patrzeć i nie widzieć. Można widzieć i nie postrzegać. Postrzegać i nie korzystać, nie rozumieć. Tym właśnie, skazą taką, zaćmieniem raczej umysłu niż oka – taką przypadłością ujrzałem się dotknięty. Klasyczny przypadek choroby otępiennej,

powiedziałby psychiatra. Przykra konstatacja... Trzeba było dopiero interwencji greckich magów, bym pojął wreszcie prostą rzecz, że te koślawe, paskudne, odpychająco brzydkie, odrażająco brzydkie, od lat, ba, od dziesięcioleci jawiące się na murach Targówka napisy – coś znaczą, coś znaczyć chcą, a jeśli nawet nic nie znaczą – to tym samym coś jeszcze innego znaczą. Czułem zażenowanie i skruchę.

Skruszonego rozbroiła i rozbawiła nawet myśl absurdalna, że przez analogię z Grekami, za ileś tam set, za skromne pół tysiąca lat, przyszli starożytnicy zaczną w mozołe rozczytywać te gryzmoły z wiechowych skorupiek... Gdyby ich wspomóc, podejmując w najskromniejszym choćby nawet zakresie badania nad fenomenem targówkowych nasych, bazgrolskich, gryzmołskich i bohomażnych sztuk?

Nieskładną i wątplą, rozchwianą bazgrolską powieść zacząć wypada od wzmianki choćby o historii zjawiska (bo powiastkę o przemienionych mołojcach z Mokrej należy chyba między bajki włożyć), ściśle związanego z dziejami naszego kraju i postępkami demokracji i swobód obywatelskich. Pamięć podpowiada mi napisy na murach z 1968 roku, hasła skierowane przeciwko opresyjnej władzy i wspomagającym ją mediom; była to niebezpieczna, grożąca w najlepszym razie ciężkim pobiciem, w najgorszym – sądem i wielomiesięcznym więzieniem polityczna – robota (Ale mur na jednym z bloków pamięta napis bodaj wcześniejszy jeszcze: „CWKS!!!...” – kto dziś jeszcze wie, co to jest CWKS?). Taki stan trwał aż do 1989 roku, kiedy to wolność znaczyć miała też swobodę działalności twórczej – także dla muralistów, wysoce upolitycznionych wtedy jeszcze, zapalczywie broniących racji swojego obozu, zwalczających namiętnie przeciwników: „Z KACZEŃCA NIE ZROBISZ SKRĘTA, A Z WAŁĘSY PREZYDENTA” pochodzące z tego heroicznego czasu hasło, nieco wyblakłe, dziś jeszcze odcyfrować mogę na murze gmachu telekomunikacji... I podobne: „GRUNT TO BUNT, BALCEROWICZ RÓB STĄD RZĄD! JAZDA Z KURWAMI!!!”. Nadspodziewanie jednak szybko postępowała depolityzacja i prywatyzacja: wielka polityka wzniosła się z poziomu muru na wysokość banerów, mury zakwitły jaskrawymi bohomazami pędzla streetartystów, tępionych niegdys, dziś już chodzących w glorii pełną gębą artystów – i naszych, ostatni sort, gryzmo- i bazgropisków, skrytopisków, chuligańskich autorów owych obrażających rozum i dobry smak, wyzywających i chamskich, budzących odruchy wymiotne ohydztw, gówniarskich bohomazów... Domorosły badacz, powinienem jednak powściągać dzielone z establishmentem Targówka uczucia i emocje, niech raczej, na boku zostawiwszy owych spoczywających już na laurach streeterów, podejmę próbę elementarnego zrozumienia owych znieawidzonych, a coraz prężniej działających osrajmurków... – lud nasz nie wie już, jak ich nazwać, jak biedakom dokuczyć. Osmurki te, w przeciwieństwie do swoich jawnie pyszniących się swoimi jaskrawymi malunkami na kilometrach przez samorzady wyznaczonych parkanów streetartychów (czytałem gdzieś, że policzyli się, jest ich w samej Warszawie grubo ponad 2000!) ewoluowały w przeciwnym kierunku – od jasności ku ciemności, od jawności ku skrytości, od blasku ku mrokowi, od kolorów ku czerni, od układności do złośliwego buntu, od grzecznego figla do nagannego wybrzyku, od piękna do brzydoty, od przyzwoitości ku skandaliczności. Nie zawsze przecież

bazgropisarstwo, nawet tu na Targówku, kwitło, czy nawet w ogóle istniało. Długo mury pokrywały, jako się rzekło, płomienne patriotyczne apele, wyborcze agitki... szarzało to z wolna i gasto, nawet obsceniczne hasła i bluzgi dziwnie traciły wigor, same napisy zaś stawały się coraz mniej czytelne, niedbałe, bylejakie. Litera wiodła, liniały, rozpełzały się, upodabniały do siebie nawzajem i z sobą splatały się, jedne wślizgały, wręcz zanikały, inne zapadały na *elephantiasis*, dławiąc i tamsząc pozostałe. Z upływem lat przekaz zyskiwał kształt coraz bardziej abstrakcyjny, wyjąłowy z sensu czy też zawierający treści coraz bardziej zaszyfrowane: hieroglif, czytelny dla wtajemniczonych. Posługują się nimi członkowie ferajn – (dziś noszące bardziej stosowne nazwy: grupy [?Group], frakcji [Frakcja FZ 8], lub – co intrygujące – laboratorium [LAB]) – których ksywki z kolei są zaszyfrowanymi, przypominającymi gmerki, piętna zwierzęce czy ciosna graniczne, znakami. Bystry, nawet postronny obserwator nie byłoby w stanie tych tajemnic przeniknąć, gdyby nienawiść pomiędzy poszczególnymi „grupami”, „frakcjami” i „laboratoriami” nie wylewała się niekiedy na zewnątrz i na murach nie pojawiały się z nagłą napisy już nie ciemną bazgrolicą pisane, lecz wołowymi łacińskimi wersalikami: „UTRI CWEL!!! JEBĄĆ FRAJERÓW KARTOFLA, UTRIEGO, ALEKSA TEŻ JEBĄĆ!”. Rychu Paker z Zamiejskiej też jeszcze jest w tej grze, Toy, Figo, Cycu, Baks, Kindzior, Kriz i Ryku też w stanie wyższej konieczności uciekną się, z najwyższą zapewne odrazą, do standardowej łacinki, poza tymi rzadkimi przypadkami użycia – mało powiedzieć, poniewieranej i poniżanej – wzgardzonej i zdeptanej. Alfabet łaciński z wszystkimi swoimi przyległościami w praktyce pisarskiej bazgropiśców podlegał bowiem i podlega nieustająco wymyślnym, wyrafinowanym torturom. Litera, dawno już sprofanowana, stale od nowa bezlitośnie są rozrywane, rozszarpywane, miżdżone, poddawane próbie zgniatania, gięcia, skręcania, wywichania. I w końcu z całej litery A pozostanie tylko lewa stópka, dodatkowo przekreślona w lewo, z usieczonym paluszkim czy nawet z urwaną niczym dokuczliwej musze nóżką. B znowu porzucone z rozplatanymi obydwojoma brzuskami... Jak z kolei można dokonać gwałtu na takiej literze jak H. Na O ją nasadzić, rozkraczy się wtedy jak szczajęca na stojaka baba. Rozdzierają chłopcy gryzmołcy-bazgrołcy pismo łacińskie na strzępy i je gołocą. Wystawiają na pośmiewisko, zmienione do niepoznaki, utyłane w nieczystościach, rozwleczone na murze niczym świński flak... S skręcone niczym powrósto, Y rozdarte, rozplatanie, rozpołowione, jedna gałązka w pionie jeszcze, ucze-piona czułką sąsiadującego z nim a skazanego na *elephantiasis* N, druga odnoga, odrębna brutalnie, upadła. Depcze ją na wpół rozebrane, pozbawione swojej górnej poprzeczki F, na stojaka spółkujące – o żadnych ligaturach czy abrewiaturach nie będzie tu mowy – z R, zwróconym do niego przodem; jako żywo też ruską literę teraz przypomina. Z tej zapewne przyczyny z furii taranuje tę parę monstrialne, niczym z łomów zardzewiałego żeliwa zmontowane X.

Niemito i wręcz strach patrzeć pragnącemu wiedzieć i rozumieć, postronnemu jednak obserwatorowi, na to pobojuwisko, na którym poniewierają się bezkształtne już, nieme zwłoki starożytnego alfabetu, który nie będzie już w stanie żadnej myśli sklecić i wypowiedzieć, sam niezborny monotony bluzg.

Brudne, poskręcane jak kłęb zardzewiałego drutu kolczastego, ściekają brudnym li-
szajem ze ściany wieżowca. Nic nie znaczą, niczego, złamane, nie wyrażają, poza własną
intensywną, odpychającą sugestywną, bijącą w oczy brzydotą i biedą.

Tak to, splądrowawszy i na pośmiewisko wystawivszy stare abecadło, postawivszy
na nim krzyżyk, nasi gryzmołowie, bazgropiścy i bohomazi zeszl do podziemia czy raczej,
urzędowy język Unii Europejskiej jest tu bardziej precyzyjny, *underworldu*, podświata,
który w rezultacie antyłaćcińskiej rewolty zaistniał równoległe do świata alfabetycznego,
od którego odgradza się kategorię przegradą znaków, spośród których, jak wszystko
zdaje się na to wskazywać, zaledwie drobna cząstka niesie jakąś konkretną informację,
pozostałe – ogromna większość – to figury czysto abstrakcyjne, rezultat czysto sponta-
nicznego aktu, instyktownej może nawet potrzeby zostawienia śladu, utwierdzenia się
w swoim istnieniu, jak wiadomo zresztą, dążenie to właściwe jest nie tylko naszemu
gatunkowi...

Jak sroka w kość wpatrujący się w surowy i szorstki, bez ładu i składu, bez myśli
spleciony czarny kłęb krzywych linii na licowej stronie bryły tynku z parkowej altanki, przy-
pominał sobie kategorię nakaz sławnego wiedeńskiego ekscentryka Friedensreicha
Hundertwassera (ongis Stowody...): *Die gerade Linie ist Gottlos!* Skąd neoanalfabeci
z Cmentarnej i Mokrej tę zasadę, bądź co bądź dość radykalną i ekscentryczną, znają,
co lepsza – czemu wzięli ją sobie do serca i przestrzegają jej skwapliwie? Stanęły
mi przed oczyma szczytowe ściany tuzina naszych bloków, mury gmachu telekomunika-
cji, wreszcie najokazalszy i najwspanialej, to jest najszkaradniej i najbardziej niechlujnie
i dziko, paskudnie prezentujący się obiekt – mur na korcie tenisowym. Ten wolnostoją-
cy mur to jedno ogromne BAZGRO: ściana pokryta jest od podstawy po wierzch nie-
skończoną liczbą kresek i krech, niefrasobliwą ręką, bez widocznego śladu jakiegokol-
wiek myśli – powiedzmy otwarcie: bezrefleksyjnie, spontaniczną i szczerą, bezwstydną
bezmyślnością, zimnym, odpychającym, godnym robota automatyzmem naniesionych,
i nie sposób dopatrzeć się nigdzie najmniejszego nawet śladu jakiegokolwiek *gerade Li-
nie*, kłębówisko, rzecz by się chciało, bezbożne, zamysł (czy bezmysł...) z piekła rodem,
gdyby wyznawcy proroka Hundertwassera nie mniemali inaczej. Czy oni od pana H.
zresztą, czy przypadkiem nie gdzie indziej szukać trzeba ich bogów i antenatów? Książka
Les surréalistes. Une génération entre le rêve et l'action jak na zawołanie otwiera się
na właściwej stronie: *Dessin automatique* André Massona z 1925 roku wypisz-wymaluj
przypomina kontemplowany przeze mnie bazgrołek na ogrodowej skorupce, czy owo
monumentalne bazgro na kortowym murze... A obok, na sąsiedniej stronie, w tekście
Pierwszego manifestu surrealizmu, nasi gryzmołowie i bazgrołowie znajdują instrukcję
dla twórców czy, zachowajmy miarę, macherów dzieł automatycznych: „Faites abstrac-
tion de votre génie, de vos talents et de ceux de tous les autres”. Piszcie, rysujcie, dzia-
łajcie tak, jak ręka, nie głowa, wiedzie... Miotający się między snem a czynem, między
kreacją artystyczną a pokusą radykalnego, rewolucyjnego rozstania się z pętającą czło-
wieka zaskorupiałą kulturą, śniący o poruszeniu i zmianie porządku rzeczy towarzysze
André Bretona w swych poczynaniach o tyle mniej odważni byli od swoich mimowiednych

kontynuatorów, że ci ostatni płody swoich zaumnych automatycznych poczynań ogłaszają nie na kartce papieru czy skrawku płótna, lecz na murach bloków mieszkalnych i gmachów publicznych, ba, ich szkaradne cyrografy znaleźć można na płytach nagrobnych i macewach bródzieńskich cmentarzy.

Ale czy tym czarnym krzywymi liniami, kłębiącymi się dosłownie wszędzie, Bóg błogostawi, czy sprzyja tym z piekła rodem twórcom gryzmoło-bazgrołków, w pojęciu powszechnym koszmarnych, *nomen omen* – bohomazów? Bóg Bogiem, zwykły obywatel, tak mieszkaniak bloku, jak właściciel kamieniczki, zarówno dyrektor przychodni stomatologicznej, jak i rektor cmentarza ze zgrozą, obrzydzeniem, odrazą – i głęboką swoich obrazą upodobań i przeświadczeń estetycznych spogląda na posępne, dziko pogmatwane, klujące w oczy do niczego niepodobne twory, i woła o ukrócenie gryzmołskich procederów i przykładowe ukaranie łobuzów. Kibicujący podziwianemu, uwielbianemu przez cały – bez przesady – świat herosowi graffiti Banksy'emu, z zapartym tchem śledzący w telewizji jego wyczyny (ów Banksy, przypomnijmy, słynie z tego, że nikt go nigdy nie widział, nawet policijni szpicle, tymczasem jego dzieła raz po raz pojawiają się o świcie na murach Londynu), pomstują równocześnie i wzywają kary Bożej na równie nieuchwytnych jego, prawda, siódma woda po kisielu, kolegów po fachu z dalekiego, za górami, za rzekami, nawet za Wisłą rzeką, Targówka...

Tu jednak potrzebne jest wyjaśnienie i istotne uściślenie. Otóż mimo że grasujący po nocnym Londynie jak duch Banksy i krążąca po Targówku w godzinach nadrannych paczka Figo, Toy, Ryku, Aleks z Uri cwelem włącznie mają takie same korzenie i pochodzą z tego samego niegdysiejszego pogardzanego i tępionego obozu brudzimurków, to przed laty już nastąpił rozłam na skłócone ze sobą frakcje: arystokratyczny dziś streetart, czyli autorów jaskrawych, wielobarwnych, wystawnych, naściennych malunków, i proletariatu – może nawet powiedzieć należy: lumpenproletariatu – naszych żalonych, pogardzanych, zniechęconych i prześladowanych twórców sztuki ubogiej czy zgoła niesztuki, naszych gryzmołków, bazgropisów i bohomazów. Nie żyją oni ze sobą w przyjaźni, bywa, że są na noże. Nic w tym dziwnego, jeśli uwzględnić to, że nasi streetarty (jeśli nie liczyć Banksy'ego) dawno już wyszli z cienia, wyszydzeni niegdyś, cieszą się dziś uznaniem i względami społeczeństwa, ich murale są podziwiane, ba, mają niebagatelną wartość handlową (dość powiedzieć, że ostatnie dzieło nieuchwytnego Banksy'ego, wykonane przez niego jednej nocy, następnej już nieznanymi sprawcami ukradli razem z wielotonowym murem, na którym malowidło owo zostało wykonane!)... Tymczasem na naszych targówkowych nocnych artystów od siedmiu boleści, zniechęconych przez społeczeństwo i siły porządkowe, urządza się organizowane nie tylko przez policję i straż porządkową, lecz także przez *ad hoc* utworzone komitety obywatelskie polowania. Wrogość dochodzi do paroksyzmu, do walki na pędzle i markery, jedni zamalowują lub zabazgrowują dzieła przeciwnej strony. Zdarzają się też przypadki tak wstydliwe, że stritter przyjmuje zamówienie od instytucji państwowej czy właściciela posesji na pokrycie ściany, zabazgranej przez bohomazę, kwiecistym murałem... Piękno walczy z brzydota, sztuka z niesztuką, postawiony na piedestale stritter promowany do stopnia artysty

dyplomowanego, modny, świetnie prosperujący – ze znieawidzonymi chłystkami spod ciemnej gwiazdy, cierpiącymi na manię obsmarowywania wszystkiego, co popadnie, koszmarnymi, obrzydliwie karaluszowymi gryzmołami, na przekór wszystkim, na złość sobie samym: dorwie takiego policja, mandat murowany. Przytrafiło się coś takiego bazgropiskowi ze Szczecina, przykaraulili go przez uliczne monitory, TVN obraz pokazała, po raz pierwszy Polska cała ujrzała nocnego marka w akcji „bazgrania sprayem po elewacji”, jak alarmował komentator telewizyjny: wątlę chłopczyzna w dresie w bluzie z kapturem zasłaniającym twarz, w adidasach. Na Targówku monitoring uliczny nie działa, na dresiarza – w dresach, w adidasach, w bluzie z kapturem zasłaniającym twarz, ze sprayem czy mazakiem w garści – najpoważniejszą szansę natknąć się ma birbant, powracający w środku nocy z grubszej popijawy. Dresiarz, choć równie dobrze może to być dresiarzka: na www.chmielna14.blogspot.com zespoły bazgropisarskie bowiem tak się przedstawiają: „Kim jesteśmy: 2 chłopców/ 2 chłopców i 1 dziewczyna/ dziewczyna z chłopcem/ 2 chłopców i 2 dziewczyny/”. Tak lakonicznie przedstawiwszy się, oznajmiają butnie: „Nigdy nas nie złapiecie!”. Może istotnie nie uda się policji, strażom ani pod dobrą datą obywatelom ta sztuka, ci gryzmołkowie to, jak ich kwalifikuje znajomy socjolog, „wyrostki z kategorii »wycofanik«” – i prawda, jest to bractwo istotnie z dnia w noc wycofane, skryte, płochliwe i umkliwe, nieuchwytnie. Stąd niewiele o nich wiadomo, niewiele też powiedzieć można, śledząc ich dzieło tak sterylne, monotonne, po prostu przecież nudne, mało też kto interesowałby się nimi i ich autorami – gdyby wyzywająca brzydota ich produkcji nie budziła obywatelskiej złości, wściekłości, odrazy... Nie można przecież jednak tym „wycofanym” chłopcom i dziewczętom, dresiarzom i dresiarzkom, przy całej ich skrytości, strachliwości i wycofaniu się z dnia w noc, odmówić odwagi, waleczności i konsekwencji.

Gdzie Rzym, gdzie Krym, gdzie nasza na Targówku Mokra, a gdzie stołeczna ulica Chmielna? Hasło, przypomnijmy, stanowi: „Bródno rzqd, Targówek front” – i oto *frontowiki* z Targówka pod osłoną nocy przekraczają Wisłę, by z całą determinacją zaatakować w śródmieściu stolicy dwa newralgiczne punkty: Akademię Sztuk Pięknych i Instytut Goethego. Cel tej akcji: aneksja, przyłączenie tych instytucji do bazgralskiego Targówka. I oni robią to! Dokonują tego! Osiągają cel! Mur siedziby Akademii, pałacu Czapskich, od ulicy Traugutta, uczynili jednym wielkim bazgrowszczem, beżładną, mogącą przypawić o zawrót głowy gmatwaniną czarnych, ze sobą splątanych, zapętlonych, pozwijanych, spazmatycznie i dziko poskręcanych czarnych linii, raz cienkich jak szewska dratwa, innym razem grubych jak liny okrętowe, zawsze podług wymogu patrona rzeczy pokrętnych, koślawych i krzywych, natchnionego koślawca Hundertwassera – koślawych, pokręconych, krzywych. Jest ta ściana tak intensywnie, z tak niebывałą zajadłością, ba, furią, zagryzmołona, że podejrzewać można, iż komandę bazgropisarskiemu z Targówka w sukurs przychodzą studenci, odreagowujący obowiązek całodziennego sycenia się pięknem w Szkole Piękna: tuż za jej bramą zatem nurzają się z ochotą w radośnej, ożywczej, niczym nieskrępowanej, wyzwoleńczej brzydocie. Nikt im nie krępuje rąk ani nie prostuje zezowatego oka, ręka w rękę ze specami z Targówka bazgrolą – (a jeśli ktoś woli, to gryzmoli czy bohomazi), jest to działanie prawdziwie wolne, instynktowne;

jest sztuką i za jednym zamachem jej przeciwieństwem (tak to sobie wyobraża fikcjopisarz niżej podpisany). Tak czy inaczej – szczególnie to miejsce pod słońcem, jeśli zważyć, że tutaj, jak bodaj nigdzie, oficjalną państwową Akademię Sztuk Pięknych ledwie półtorej cegły dzieli od samozwańczej, przez policję, straż miejskie i media ściganej złej sławy Akademii Sztuk Szkaradnych. Czy kiedyś mur ten zostanie zburzony, Matejko i Picasso pojedną się z Toyem i Urim cwelem? Fikcjopisarzowi brak wyobraźni.

Inaczej na Chmielnej. Na Chmielnej bazgroł i bohomasz nie mają dobrej, dostownie, prasy: „...jak slums wygląda pierwszy deptak Warszawy. Choć Chmielna łączy Trakt Królewski z Marszałkowską, bardziej przypomina miejski ściek niż ulicę w sercu miasta. Wszystko z powodu brudu i chuliganerii, która maże farbą w spreju po fasadach i witrynach, niszczy własność komunalną i prywatną... Elewacja apteki Na Chmielnej pod numerem 14 wyłożona jest czerwonymi kafelkami. Zostały zasprejowane megakulfony w kolorze srebrnym. Tuż obok jest brama – ściany są makabrycznie pomazane. Kamienica przy Chmielnej 11, vis-à-vis centrum medycznego i apteki została niedawno odnowiona. Jasne elewacje od razu zaatakowali bazgrolarze. Zniszczyli fasadę przy Cube Cafe i kawiarni Chado. Zdewastowali tynki w bramie, prowadzącej na dziedziniec z budynkiem Instytutu Goethego” – pisze Dariusz Bartoszewicz w pomieszczonym w „Gazecie Stołecznej” z 8 IX 2009 artykule pod tytułem *Donkiszota z Chmielnej walka z bazgrołami*, by dwa dni później w tej samej gazecie obwieścić tryumfalnie: „Po kilku godzinach pracy dwa budynki przy Chmielnej przejaśniały. Kulfony pseudograficy spłynęły tam, gdzie jest ich miejsce – do kanalizacji”. Do akcji wkroczył bowiem w gumowych spodniach Marek Kijewski, właściciel firmy AntiGraff z myjką ciśnieniową gorącowodną w rękę. „Pierwszy stołeczny deptak z elewacjami niszczonymi przez chuliganów ma na razie jednego donkiszota, który walczy z wiatrakami (bazgrołami) – donosi reporter. – W „Gazecie” nazwaliśmy go czyścicielem z Chmielnej... Nie może się on pogodzić z jej slumsowatością. Walka o czyste ściany domów na ul. Chmielnej trwa. Cel: bazgroły na budynkach pod numerem 11 i 14. – Do boju! – zachęca czyściciel z zaniedbanej ulicy”.

Fundamentalny, bezwzględny, zajadły bój czyścicieli z „bazgrołaczami”, jak wzgardliwie naszych pisarzy nazywa się tu, ma swoją kulminację w owej, jak wzmiankuje reporter, „bramie, prowadzącej na dziedziniec z budynkiem Instytutu Goethego”. Trwające w tym miejscu od dawnego czasu wręcz heroiczne zmagania, mają wymiar symboliczny. Wszystko na to wskazuje, że – choć zdaje się to nieprawdopodobne – obie strony przestudiowały z uwagą co najmniej *Magię antyczną* Andrzeja Wypustka i z tej lektury wyciągnęły istotne dla siebie i swojego obozu wnioski. Czyściciele skupili się wokół Johanna Wolfganga Goethego, najwspanialszego i najdostojniejszego spośród wielbicieli Grecji mądroj, dumnej i wzniosłej, nasi „bazgrolarze” zaś poczuli się spadkobiercami owych sobie podobnych zabobonnych pokątnych skrybów zaklinających los i błagających bogów o chleb, zdrowie i życie. W przejściu prowadzącym do Instytutu imię Goethego noszącego ścierają się obie antyczne Grecje: światła i wzniosła z ciemną i przyziemną. Nocne komando z naszego bazgropisarskiego Targówka zabazgrowuje bramę do szczętu, przekształcając je w prawdziwe bazgrołskie, czy – jak kto woli – bohomażne

przedpiekle – by pięknoduchów, skazanych na przechodzenie tędy, upokorzyć i przypomnieć im o istnieniu czegoś, o czym nie wiedzą i wcale wiedzieć nie chcą. Lecz już o świecie stróże podnoszą alarm, mobilizują komando czyścicielskie, które z najwyższą gorliwością zabierze się do ścierania i zmywania ze ścian bazgrowidła, które bezczeszczą imię J.W. Goethego i przynoszą wstyd Stolicy. Zaczem zdwojone zostają stráže, wystawione czujki i kiedy którejs nocy znowu pojawią się nasi bazgropiścy – mogą już z tej wyprawy na swój Targówek nie wrócić...

Wrócili! Znak widomy: w chwili, kiedy piszę te słowa, rankiem 13 lutego 2010 roku, na gmachu dopiero co pieczołowicie odnowionego kosztem Unii Europejskiej Gimnazjum im. Roberta Schumanna przy ulicy Aldony, na szczycie najwyższej, prawie niedostępnej ściany tej szkoły pojawił się imponujący ideogram, starożytnikom jako żywo przypominający najstarsze inskrypcje nabatejskie. Górujący nad całym osiedlem Targówek monumentalny ten gryzmoł, bazgroł czy, jeśli ktoś chce, bohomaz, lepiej – co wysoce zastanawiające i godne najgłębszej rozważki – widoczny jest z lotu ptaka, niż z sąsiedniej ulicy. Do pilotów więc adresowany czy zgoła może do sprzyjających naszym bazgropisarzom bogów? Mały, mroczny, targówkowy jest to tym razem sekret.



Rossana Alexandrowa-Nowakowska, cykl: *Krzyże w stylu ludowym*